

Janusz Wiśniewski

Zmysły



ZMYSŁY

Teraz, na starość spełniają się moje marzenia. W naszym domu mam swój kącik literacki. Mogę pisać, mogę robić to, bez wstydliwego ukrywania się przed najbliższymi, przed światem. Mój „kącik literacki” to żeliwne nogi krawieckiej maszyny marki Gritzner z oryginalnym drewnianym blatem na wysoki połysk i dwiema szufladkami po bokach. Wnękę na główkę maszyny przykrywa teraz szklana szyba ozdobiona ornamentem. Maszyna-biurko stoi w holu tuż przy samym oknie, dotykając szerokiego parapetu. Przez okno widać moją ulicę, którą już trochę zaczyna zasłaniać żywopłot. Nieraz widzę, jak rozpędzony jesienny wiatr nabiera mocy, harcuje, bawiąc się jego witkami, gałązkami, a on, dopiero trzyletni młokos, już próbuje strzec naszego domostwa nie tylko przed wiatrem, ale i przed wścibskimi spojrzeniami przechodniów.

Szczególnie w wolne dni od pracy, w soboty i niedziele siadam na miękkim krześle przy maszynie-biurku i coś tam wystukuję na klawiszach laptopa. Za okienną szybą, na parapecie, posadzone przez żonę w skrzynkach pelargonie, jeszcze gdzieś tam różowieją płatkami małych kwiatków, jeszcze ich pędy i listki zachowały soczystą zieleń, ale już, już jesienny brudno-brąz, jak rak, pełźnie po nich, uśmierca i zmusza do przeminięcia.

Wewnątrz, na szerokim parapecie, który przedłuża moje krawieckie biurko pełne zeszytów, książek, walających się kartek, stoi staroświecka lampka wieczorami oświetlająca mój kącik. Obok, szklany świecznik z dwoma na wpół wypalonymi świeczkami i roztopionym, rozlanym u podnóża woskiem. Bywa, że zapalam świeczki, i wtedy, ich migoczące światło opromienia umieszczone za szkłem, w drewnianej ramce zdjęcie... Jestem na nim z ojcem. Ojciec w kapeluszu i dwurzędowej jesionce zapiętej prawie pod samą szyję, stoi zapatrzonej z bojaźnią

w przyszłość, która ma dopiero nadejść. Obok niego ja, chyba trzy - a może niespełna czteroletni brzdąc, tak jak ojciec ubrany w dwurzędowy płaszczyk, długi za kolana. Oba płaszcze uszyte są perfekcyjnie, zapewne z tego samego materiału. Jak on musiał mnie kochać, szyjąc mi ubranka podobne do tych swoich, dorosłych. To zdjęcie z dzieciństwa tylko pozornie jest takie jak każde inne, których wszyscy tyle zachowujemy z dzieciństwa w albumach. To zdjęcie zrobione zostało w Warszawie, nad Wisłą płynącą spokojnie w tle za nami - tak jakby to nie był czas okupacji, czas wojny. To zdjęcie jest moim jedynym zdjęciem z ojcem.

Po Powstaniu Warszawskim wywieźli ojca do Dachau, skąd już nie powrócił. Jak potoczyłyby się moje losy, gdyby On był przy mnie? Czy byłby przewodnikiem prowadzącym mnie zupełnie inną drogą? Czy właśnie On byłby tym, który pomógłby Bogu spełniać moje najskrytsze modlitewne prośby? „Boże pozwól mi pisać” – tak modliłem się nieustannie, jakby przeczuwając, że... mógłbym. Kim byłbym dzisiaj, gdyby żył ojciec - czy byłbym krawcem?

Życie potoczyło się tak, jak się potoczyło. Tak pokierował mną los. W krawiectwie osiągnąłem podobnież sporo. Późno, bo późno, przyszedł też czas na pisanie - niestety, pisanie bez studiów, bez akademickiego, literackiego wykształcenia, przygotowania to...

Ciągle dziwię się tej mojej śmiałości wzięcia pióra do ręki, wiem jedno – to Salinger, opisując banalną historię paru dni z życia szesnastoletniego chłopca w BUSZUJĄCY W ZBORZU – zrobił to w tak absolutnie genialny sposób, że czytając powieść - to ja stawałem się tym wrażliwym chłopcem Holdenem. Dzisiaj wiem, to On, Salinger - wskazał mi drogę, ośmielił mnie, bym i ja spróbował...

I spróbowałem. W wieku piętnastu lat napisałem swoje pierwsze opowiadanie pt. ROWER. ROWER podobnież, jak mówią znawcy literatury, jest dobry, dojrzały literacko.

Salinger: *Uwielbiam książki napisane przez ludzi, z którymi chciałbyś się później zaprzyjaźnić, do których mógłbyś dzwonić, gdyby przyszła ci chęć. Ale takie rzadko się zdarzają.*

- Czy ja, czy ja, kiedyś napiszę tak dobrą powieść, by...?

Do tej pory wydałem moje trytomowe *Życie skrojone na miarę* (chyba z małym sukcesikiem) i, trzy inne powieści, *Merylankę*, *Frak*, i *Papierówkę* - na audio i e-booku. Piszę, ciągle dalej coś tam wystukuję. W zbiorze pt. *Papierówka* jak zobaczycie, powracam dosyć często do lat dzieciństwa, młodości. Widocznie tamte lata, pozostawiły we mnie tkwiące głęboko, niezapomniane przeżycia, więc i tym razem, zabieram Was w tamte hen, odległe, czasy...

Po wojnie znaleźliśmy się z matką w Słupsku. Tutaj upływały mi szczenięce lata, szkolna podstawowa edukacja. Tutaj zachłystywałem się, jako szczeniak, pierwszymi „dorosłymi” lekturami. Już wtedy próbowałem wniknąć w *Iliadę* i *Odyseję* Homera (znalezioną na śmietniku). Byłem też, po lekturze książki Parandowskiego *Eros na Olimpie*, a z miłosną historią *Romea i Julii* nie rozstawałem się nawet w nocy...

W tym czasie, moją szczenięcą wyobraźnię nękać już zaczęła i seksualność. Namiętność budziła się we mnie niczym przyroda na wiosnę. Jeszcze jej dobrze nie rozumiałem, ale już brała mnie w swoje władanie. Mój ptak (do niedawna ptaszek) rozbudzany nie wiadomo skąd napływającymi sprośnymi myślami, nie dawał mi spokoju. Dlaczego, nagle stawał się większy, nabrzmiały, domagający się dotyku myśli i... ręki? Cóż mogłem wiedzieć wtedy o „takim” stanie ducha i ciała? Cóż mógł niespełna trzynastolatek wiedzieć więcej o seksie niż to, o czym w wulgarny sposób rozprawialiśmy z chłopakami w szkole, na ulicy czy podwórku? Pamiętam, jak któregoś dnia wbiegłem po skrzypiących schodach na trzecie piętro oficyny, do mieszkania moich kumpli. Mieszkali tam dwaj bracia. Jeden z nich chodził ze mną do tej samej klasy, drugi był o dwa lata starszy.

– Są w domu? – w pędzie, zapytałem ich matkę krzątającą się w kuchni. (Przez kuchnię przechodziło się do następnych dwóch pokoi). – Są w domu? – powtórzyłem niecierpliwie pytanie, odrywając kobietę od jakichś kuchennych czynności.

– Idź, idź - tam są wszyscy, odrabiają lekcje – kobieta skinieniem głowy wskazała mi drzwi, przez które musiałem przejść, by otworzyć następne, do pokoju, w którym moi kumple mieli „odrabiać lekcje”. Gdy otworzyłem je z rozmachem, zobaczyłem czterech siedzących przy stole chłopaków. Spłoszeni poderwali się ze swoich krzeseł, kładąc z przestachem ręce na rozłożonych na stole książkach i zeszytach, jednocześnie odruchowo zasłaniając sobą swoje rozporki.

– Aleś nas wystraszył! Zamykaj drzwi! – krzyczeli najpierw rozgniewani, a potem szczerząc zęby i uśmiechając się głupkowato, pytali jeden przez drugiego:

– Zagrasz z nami? Zagrasz? Na piątego? – Ich ręce znowu wróciły pod stół. – Odpadłby najszybciej! Ha, ha, ha... Słyszałem jeszcze za drzwiami ich szyderczy śmiech, kiedy zatrzasnąłem za sobą drzwi.

– Co, nie zostałeś z chłopakami? – zapytała matka, zobaczywszy mnie spłoszonego w kuchni.

– Nie, muszę biec do domu.

Kończyłem 13 lat, kiedy nasze mieszkanie w dużej willi na poddaszu (dwa piętra dolne zamieszkiwały inne rodziny) zaczął odwiedzać mężczyzna, który z biegiem dni zostawał u nas w domu na coraz dłużej... Nim tak się stało, ja, nastolatek, chłopiec wątłej postury, chyba niższy od swoich rówieśników, ciągle sztorcowany przez nauczycieli, bo nauka szła mi nie za bardzo (za wyjątkiem języka polskiego), miałem, jako takie wsparcie tylko w matce. I nagle, dotarło do mnie, że zaczynam je tracić. Poczułem, że teraz matka tą swoją skąpą miłością, której nigdy nie miałem od niej za wiele, zaczyna się dzielić, obdarowując nią kogoś całkowicie obcego, niechcianego, nieakceptowanego przeze mnie. Nie mogłem się z tym

pogodzić. Próbowiałem walczyć, jak tygrysiątko oddzielane od matki. Czułem, że ktoś rujnuje mój świat, niszczy go brutalnie, zabierając mi znowu, (bo przecież wojna zabrała mi ojca) kogoś najbliższego. Zacząłem walczyć. Stałem do nierównego boju nie tylko z tym obcym, ale i z moją najukochańszą istotą. Robiłem wszystko, co tylko mogło przyjść do głowy nastolatкови, by ten obcy nie mógł być „blisko” matki, by nie mógł się do niej łączyć, by nie mogli się przytulać, całować... Pilnowałem, by nigdy nie zostawali sami, by nie mogli ze sobą robić tego, o czym już wiedziałem, że istnieje, ale myślałem, że jest czymś wyuzdanym, obrzydliwym, bo przecież obśmiewanym na ściennych rysunkach nie tylko w szkolnych ubikacjach. „*Chuj i pizda w nocy gwizda*” – ten prostacki rym, wypisany gdzieś na murze w pobliżu szkoły, prześladował mnie, małego chłopca. Bardzo cierpiełem, widząc blisko siebie matkę i obcego. Przeżywałem gorycz, ból i odtrącenie. Nie wychodziłem na podwórko, by kopać z chłopakami ukochaną piłkę, czy ganiać po pobliskich powojennych kamienicznych gruzach, po ogrodach i podwórkach - pilnowałem ich. Byłem z nimi w kuchni, kiedy matka przyrządzała coś do jedzenia. Siedziałem przy stole, kiedy popijali kawę lub pili wódkę, a zegar już dawno wybijał dwunastą w nocy. Na siłę przezwyciężałem znużenie; Wytrzymam, wytrzymam, nie zasnę, nie zasnę! Będę przy nich, będę ich pilnował, wytrzymam! – powtarzałem sobie w duchu, walcząc z opadającymi powiekami. Nie pozwalałem również wychodzić im razem z domu. Próbowali mnie zamykać w mieszkaniu, ale wyrываłem się i krzychałem na cały dom tak głośno, że mój krzyk słyszeli nie tylko sąsiedzi, ale i wszyscy święci! Razem nie pozwalałem im iść nawet do kina, chyba, że zabierali mnie ze sobą...

Mam przyjaciela „Jana Poetę”. To on mnie prowadzi przez meandry, zakamarki literatury - jak pies przewodnik ociemniałego. To on wskazuje mi, co i jak czytać, co oglądać, czego słuchać, gdzie bywać, by, choć otrzeć się, choć powąchać, uszczknąć tego wszystkiego, czego inni nauczyli się na

uniwersytetach, w swoich inteligenckich od pokoleń rodzinach. Jan, facet po filologii polskiej, członek Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, poeta i pisarz – ja krawiotka, bez przygotowania humanistycznego, spotykamy się coraz częściej po to, by porozmawiać o literaturze, o książkach, filmach, teatrze czy muzyce. Bardzo cenię sobie te nasze „literackie spotkania”. Pragnę, żeby on nasączał mnie swoją erudycją, wiedzą, tym całym swoim czytaniem. Z bacznie nastawionymi uszami słucham go i zazdroszczę wyjątkowej pamięci. Podziwiam, z jaką lekkością operuje nazwiskami autorów książek, reżyserów filmów, kompozytorów, aktorów, tytułami filmów i powieści:

Konieczniesz musisz przeczytać *Życie Arsieniewa* Iwana Bunina. To świetna książka. Bunin, Dostojewski, Czechow... – to tylko Rosjanie, a weź literaturę amerykańską, a żydowską...? Warto czytać tylko najlepszych. Od nich wiele można się nauczyć. Innym razem, gdy siedzieliśmy przy kominku, popijając grzane wino, a nasza rozmowa krążyła wokół obejrzanych w przeszłości filmów on wspominał:

– A pamiętasz takie filmy jak *Noce Cabirii*, albo, *Pożegnalny Walc* - Mervina LeRoya? Grane były w Polsce na początku lat pięćdziesiątych... Chyba to był rok pięćdziesiąty trzeci, albo czwarty. Jan zaczął mi streszczać ich fabułę...

– Czy na pewno te filmy, ten film... *Pożegnalny Walc* był grany w Polsce w pięćdziesiątym trzecim albo czwartym? – zamiast go słuchać, nagle przerywam jego wywody, bo obrazy z tego filmu zostały w mojej pamięci jak żadne - na całe życie.

– Tak, na pewno. Główną rolę grała w *Pożegnanych Walcu* Vivien Leigh. Na pewno to był rok 1953 - no, może 1954 – mówi on, chodząca encyklopedia.

– Słuchaj, Janie... Czy to możliwe, żebym w tamtym czasie, mając trzynaście lub czternaście lat mógł obejrzeć tamte filmy?

– Nie, nie, to raczej niemożliwe, te filmy były wtedy od osiemnastu lat. W tamtych czasach bardzo przestrzegali tego, by nie wpuszczać nieletnich. A ty, jak

mówisz, miałeś wtedy trzynaście czy czternaście lat... To niemożliwe, byś mógł je obejrzeć, po prostu, nie wpuściliby cię do kina.

– Wiesz, Janie, ja te filmy *Noce Cabirii* i, *Pożegnalny Walc* jednak widziałem, pamiętam. W *Pożegnalnym Walcu* on poszedł na wojnę, a ona zamiast na niego czekać – pod latarnię. Bardzo ten film przeżyłem. Nawet przypominam sobie, w jaki sposób znalazłem się w kinie. Matka miała faceta, potem on został moim ojczymem. Chcieli iść na ten film, nie chciałem ich puścić samych, więc po awanturze wzięli mnie ze sobą. - Sąsiadka była bileterką, więc jakoś przemycili mnie przez wejście. Pamiętam, że zafascynowany, zainspirowany tymi filmami, napisałem wiersz... Pamiętam go do dzisiaj, na pewno jest nieudolny, banalny, ale pisząc go, byłem przecież małym chłopcem. Dzisiaj, po dziesiątkach lat, nie mogę się nadziwić temu, co miałem w głowie wtedy – ja gówniarz. Posłuchaj:

NOCE CABIRII

Oczy schowane za tuszem

Usta nabrzmiałe od szminki

W głowie pytanie czy skuszę

Szła omijając posterunki

Ubrania na niej jakoś mało

Jak ćma przylgnęła do latarni

Może ktoś łasy na jej ciało

Znajdzie ją tutaj i przygarnie

Lecz nic takiego się nie dzieje

Nocy jest nawet niepotrzebna

Noc sama poszła spać już dnieje

A na ulicy ona jedna

I poszła dalej ta córka Wenery

Z żalem, że nikt nie kupił jej ciała

I tylko świt tulił ją szary

Gdy ona szła i płakała.